

Opera Śląska zrealizowała kolejną premierę: „Dziecko i czary” Maurycego Ravela wg pomysłu i z tekstem Sydonii Gabrieli Colette. Zamierzenie tyleż odważne, co słuszne, gdyż duża obsada tego dzieła daje w zasadzie możliwość zabiłyśnięcia wielu wykonawcom, którzy rzadko mogą pojawiać się na scenie. Bo chociaż „Dziecko i czary” jest operą kameralną, za to wieloobsadową. Nie musi mieć przy tym gwiazd pierwszoplanowych, lecz śpiewaków o wielkiej muzykalności, idealnie opanowanym aparacie głosowym, uzdolnionych aktorsko, tanecznie, musi mieć zespół raczej młody, no i bardzo zdyscyplinowany. A Opera Śląska te właśnie warunki spełnia.

Ravel tworzył to dzieło przez kilka lat. Najpierw miał to być w ogóle balet dla córki Colette. Autorka „Domu Klaudyny”, a później tyłu książek subtelnie analizujących dwa zakresy rzeczywistości — dzieciństwo w wiejskim pałacyku i życie uczuciowe bohaterów — starała się długo, by Ravel zainteresował się jej librettem. Minęło jednak aż 6 lat, gdy po wielu pertraktacjach Ravel przystąpił wreszcie do pracy.

Sam miał już wówczas także swą posiadłość wiejską w Montfort l'Amaury. I dziś istnieje ten dom zamieniony w muzeum. Widok z okien jest przepiękny — opadające ku rzece tarasy. Pokoje malowane na róż pompejański gaszony szarościami i kontrastowany srebrzącymi się tonami szarej flaneli, przepelnione są dziwnymi przedmiotami: to sztuczne ptaki i zwierzęta, ozdobne flakony do perfum dzieła Gallé i wzruszające szkła Augusta i Antonina Daun — cały perwersyjny smak secesji, szkoły z Nancy, połączony z dużymi gładziami kryształowych lusterek.

Za życia Ravela mało kto znał jego rezydencję, którą zajmował wraz z przyjacielem, ale bywała tam między innymi sławna już Colette. I ten świat pełen poezji, przemyśleń, wdzierającej się oknami, oraz wnętrza przypominające pomysły Huysmansa z „Na wspak”, książki, która naznaczyła gust Ravela w czasie jego młodości i bliskich kontaktów z Diagnelem, Niżyńskim i drugim wydaniem „Baletów Rosyjskich”, ten — a nie inny świat — pełen przewrotnie pięknych bibelotów i różnych nakręcanych przedmiotów — to były źródła inspiracji i dla samego Ravela i dla Colette, która musiała przekształcić pierwotne libretto. Był

to świat dziecka — ale dziecka w nim nie było i nigdy być nie miało.

Zresztą powiedzmy od razu: „Dziecko i czary” nie jest operą dla dzieci w sensie potocznie przyjętym. Premierę dał w Monte Carlo sławny już Wiktor Sabato. Ani miasto nie jest ochronką, ani tamtejszy teatr piaskownicą dla maluchów, a lista tych, którzy współpracowali przy realizacji, przekreśla zupełnie tezę o operze dla dzieci. Jeśli nie przekreśla jej komuś sama muzyka i samo libretto.

Podobnie nie jest cyklem dla dzieci „Ma Mere l'Oye” Ravela, choć w tym dziele na cztery ręce na fortepian, a także w wersji orkiestralnej, nie brak podtytułów zaczerpniętych z bajek Perraulta. Jest to dzieło łączące symbolizm muzyczny z literackim, owiane poezją sztuczności, dzieło wykwinu i wysmakowania. Ewokuje, owszem, świat dzieciństwa — ale takiego, o którym z pagórka swych kilkudziesięciu lat marzą i rozprawiają pisarze, poeci czy muzycy. Świat czarowny — ale świat oczarowanych wspomnieniem dzieciństwa dorosłych. Więcej — to raczej kabaret na temat poetyckiego widzenia dzieciństwa. Bez tej informacji partia Ognia, Księżniczki, fokstrot Czajnika czy Filiżanki — nie tłumaczy się nikomu. Ani dzieciom, ani rodzicom, którzy czują się zobowiązani wyjaśnić maluchom, co właśnie widzą na scenie.

O ile chwale Napoleona Siessa za piękne przygotowanie muzyczne, zespół za muzyczne osiągnięcia — a partytura jest wściekle trudna! — o tyle muszę przyznać, że nie podzielał jego wyboru Jana Dormana na inscenizatora i reżysera, a Małgorzaty Bundeiewicz na scenografkę przedstawienia.

Zbyt dobrze wiem czym w historii teatru polskiego, szczególnie tego dla dzieci, jest Jan Dorman, aby znęcać się wypominając scena po scenie błędy sztuki. Choć przyznam się, że od człowieka z takim doświadczeniem oczekiwałem, że zorientuje się w porę, iż ma przygotować nie tyle przedstawienie dla dzieci, co zgodne z duchem Ravela. Mogę a właściwie muszę zarzucić mu także, że podpisał tak nieudane planse scenografii oraz projekty kostiumów. Co pani scenograf wymyśliła na przykład jako wzór tapety ze scenami pasterskimi — trudno mi pojąć.

Akt I wydaje mi się — i pod takim wrażeniem pozostawałem w czasie katowickiej premiery — w sumie bardziej sensowny. Sądzę, że jest to w pewnym stopniu także



Scena z opery „Dziecko i czary”. Na zdjęciu: Gabriela Kściuczyk i Kazimierz Cieśla.
Zdj. Czesława Kłose-Jodłowska

Któż z nas nie był dzieckiem?

i zasługa choreografa Henryka Konwiskiego, który nauczył solistów kilkudziesięciu zabawnych pas. Później już kolejne obrazy nie chcą złożyć się w sensowną całość.

Z wykonawców oczywiście podobała mi się Gabriela Kściuczyk jako niesforne dziecko — dostatecznie młoda i żywiołowa by kreować tę rolę. Fotel i Drzewo w wykonaniu Czesława Gałki to ponowne potwierdzenie, że jest to cenny nabytek Opery Śląskiej. Jerzy Musioł wybił jako Zegar punktualnie zepsute godziny, co nie zawsze się śpiewakom udaje, zaś Adam Wiśniewski wraz z całym zespołem Arytmetyki wykazał

wiele temperamentu, a wcześniej (Czajnik) również muzykalności. W pierwszej części podobał mi się pomysł Dormana z wprowadzeniem Pierrota — który aranżuje właśnie całą „cudowność” przedsięwzięcia. Jego partię pantomimiczną wykonywał z poezją Kazimierz Cieśla.

W sumie wielka szkoda, że tylko poziom muzyczny spektaklu tego oczekiwanego dzieła sprawia satysfakcję. I dorosłych i dzieci żal. A któż z nas nie był dzieckiem — prawie każdy.

MARIAN WALLEK-WALEWSKI